Rok 1898. Lwów, dnia 15. sierpnia. Nr. 32.

ECHO LITERACKIE

Dodatek tygodniowy „Dziennika Polskiego“

Redaktor: Izydor Kuncewicz.

FRANCISZEK MIRANDOLLA

POEZJE

Finał nieudałego poematu.

Niech się zielenią z każdą wiosną łąki!
Ci co umarli, ci nigdy nie wstaną...
I choćbyś w rolę rzucał zaoraną
Łzy, ból i pracę, tej wiecznej rozłąki
I tej tęsknoty żadne nowe życie —
Tych kwiatów, świeże nie zastąpią pąki!

I choćby tylko na samem dnie serca
Została mała tęsknoty kropelka,
Będzie po latach jak ocean wielka...
I choćbyś szydził i śmiał się, — bluźnierca
Zamilknie w tobie o pewnej godzinie...
Coś raz ukochał, już nigdy nie minie!...

Ostatnia.

Złożyłaś mi na piersi skrzydełka omdlałe
I główkę małą, biedną i piersi dyszące
Błyszczysz, jak gdy nad morzem złote zejdzie słońce
Błyszczy kropelka wody, co padła na skałę.

A dokoła nas gwiżdżą wiatry rozszalałe
I chmury rozstrzępione, po błękicie mknące;
Przez szum burzy wciąż słyszę twe serce bijące
Ukryte w białym puchu mewie serce małe.

Padłaś na twardą skałę i tu przytulona
Śnisz że twarda opoka wytrzyma nawałę,
Że cię stąd już nie porwie fala wód zielona.

Śpij cicho. Jeśli padnę, twoje ciało małe
Ciężarem mym przycisnę. Będę ci mogiłą
Bezpieczną, by ci morze snu nie zamąciło.

Dla dobra ludzkości.

Zostać i brodzić masz przez życie całe
Po ostrych ścierniach... Dla kogo i poco
Nie pytaj. Poza twego wzroku nocą,
Świecą się słońca szczęścia okazałe.

Do przyszłych celów i do przyszłych blasków
Pędzimy zimną beznadziejną nocą,
Wydrzyj ze serca twoje wieczne „po co“
Czyń, jakbyś nie żył w lesie samotrzasków.

Spadnie na głowę ci promień gorący,
Choćbyś już dawno złożył kości w grobie,
Kiedyś, gdy przyjdzie szczęściem jaśniejący

Dzień wypoczynku, wspomni lud o tobie
I świec ci dużo postawi na grobie
A imię twoje będzie „Tłum walczący!“.

Gdyby!

Gdyby tęsknicę moją zakląć w słowa,
Gdyby ją zakląć w czarodziejskie tony,
Toby jęczała, jak pogrzebu dzwony,
Toby hulała, jak burza stepowa!
Toby mówiła takie rzeczy dziwne,
I takie ciemne i takie naiwne
Jak szczebiot dziecka i jak sen warjata,
A pieśńby rosła biała i skrzydlata
I cierniem czoło miałaby wieńczone
I od łańcuchów ręce pokrwawione...

Od takiej pieśni, drzałaby ziemia od końca do końca
A kędyby szła wstawałyby słońca,
I krewby wsiąkała w ziemię płynąca
A w serca spływała lawa gorąca.

* * *

Wy co siedzicie tam, na życia maszcie
I w fal się sinych. wsłuchujecie szumy,
Zejdźcie tu do mnie na dół i pokażcie
Czy wasze serca od długiej zadumy
I z ostrych wiatrów, co tam w górze wiały
Jak ciała gadzin martwych nie zsiniały.

Choć tak wysoko byliście nad ziemią
I choć wam fale oceanu grały
Czy znacie rzeczy, co tam na dnie drzemią?
Czyście już wszystkie wypatrzyli skały
Co grożą śmiercią tułaczą okrętom?
Ciszę, możecież nakazać odmętom?

Wyżej wam, wyżej trzeba było latać
I z serca w górę wyprawić się Zniczem,
Z gwiazd się na niebie milionami zbratać,
I stamtąd patrzyć, skąd ziemia jest – niczem,
Gdzie nie dochodzą tego życia szumy,
Gdzie się ślimacze nie wedrą rozumy.

Zaklęte koło pytania nie pęknie,
Aż rozum ciągle chodzący w kieracie
Padnie znużony i wtedy „poznacie",
I serce wasze przed wszechświatem klęknie
I będą wyły wszystkie jego rany:
Tyś jeden wielki, święty i nieznany.

I jam się drapał na wyniosłe szczyty
Mądre-m z sępami prowadził rozmowy.
I byłem zimny, dumny i surowy.
Teraz, gdym ręce podarł o granity,
Wiem i przed szkolnym nie zatnę się żakiem,
Że granit skała i że sęp jest ptakiem.

Wędrówka.

Na sine mię morze,
Na puste bezdroże,
Wędrowne jaskółki zwabiły.
Wpatrzony, wsłuchany,
Mijałem bałwany,
A one wciąż w górze krążyły.

Ma łódka
Malutka
Jak ptak się po fali ślizgała.
Przyjazne wołanie
I ciche przystanie
Niebaczna w przelocie mijała.

Pędziła, pędziła...
Ma dusza sniła
Rozkosznie na morzu bez krańca
Jaskółki leciały
I głośno się śmiały
Mówiły: „To dola skazańca!

Po sinem tem morzu
Po pustem bezdrożu
Na wątłej orzecha łupinie
Gdy lecim — za nami,
Gdy znikniem — za mgłami,
Do śmierci, na oślep popłynie...

Wciąż płynę i płynę
I morską głębinę
Z dziecinną przecinam nadzieją.
Na niebie zamglonem
Wiatrami sieczonem
Mgły z doli tułacza się śmieją.

Łuna na skale.

Rozdarta, wpół zawisła ponad stromym szczytem;
Życie wionęła w skałę, zrosła się z granitem
I sypnęła szeroko iskrami po niebie.

Moja dusza tak zimna i pusta jak skała.
Dawno na niej poświata słoneczna skonała.
Próżno czeka na życie, na blaski na — Ciebie!

NOWA SZTUKA.

Dokończenie.

III.

Wystarczy przeczytać kilkanaście stronic któregokolwiek z utworów Przybyszewskiego, aby wyrobić sobie przekonanie o rodzaju jego uzdolnienia artystycznego. Nie jest to talent „promienny" w rodzaju np. Ady Negri; nie woła on głosem pełnym młodzieńczej siły i samopoczucia: „miejsce mi zróbcie!" Występuje ze swą ideą, rzucając banalnej i bezdusznej mieszczańskiej sztuce wyzwanie i słowa pogardy, lecz o uznanie się nie troszczy. W jego działalności autorskiej, rzec można bez przesady, nie ma ani jednego melodyjnego tonu, nie ma iskier, co blaski sieją, rozjaśniając „wesołem światłem" myśl naszą. Sztuka Przybyszewskiego — to nie wypoczynek, nie szereg wrażeń estetycznych w dzisiejszem powszechnem pojmowaniu rzeczy, ale raczej — okrzyk

niepospolitej duszy, przechodzącej męczarnie. Z prac Przybyszewskiego wyziera jakby ponury demon, pragnący zajrzeć przenikliwemi oczyma w tajniki duszy ludzkiej i na jaw je wydobyć. Trudno znaleść w współczesnej literaturze człowieka, w któryby tak ściśle połączony był poeta i filozof, jak w Przybyszewskim.

Dzieła jego nie są to książki, o których możnaby pisać sprawozdania lub streszczenia w dosłownem znaczeniu; w nich wszystko jest ścisłą myślą, wrażeniem skoncentrowanem, potężnem, co się z pod określeń wymyka. Motywy utworów są tak proste, niezłożone, że prostszymi być nie mogą. Lecz rzecz polega nie na motywie, ale na sposobie traktowania, na umiejętnem akcentowaniu momentów akcji psychicznej, na mistrzowskiej analizie przeczulonej i wysubtelnionej duszy człowieka współczesnego, na niezwykłej sile i plastyce obrazowania. Nie ma tam intryg, sytuacji, — nie ma akcji zewnętrznej. Każde jego dzieło — to szereg głębokich refleksyj, genjalnych myśli, rzucanych, jak perły, pełnemi garściami, — szereg wybuchów, obrazów, wizyj i halucynacyj, wstrząsających swą potęgą. Jednem słowem są to — drgania duszy ludzkiej, obdarzonej olbrzymią inteligencją i nadludzką iście wrażliwością.

Nic dziwnego, że Przybyszewski ideę swoją przeprowadza z całą pasją, na jaką tylko stać jego temperament, że radby zdruzgotać, zniszczyć wszystko, co poza jej obrębem istnieje; dowód w tem, że wierzy w siebie i w to, co wyznaje. Inna rzecz, jak ideę jego przyjmie ogół, któremu on ją podaje, jakie znaczenie będzie ona miała w ogólnym rozwoju sztuki. Tego dziś przesądzać niepodobna. Obecnie zadaniem krytyki artystycznej powinno być wyjaśnienie o ile możności najdokładniejsze nowej idei, wykazanie jej genezy, zalet lub braków. Zadaniem krytyki — wziąć pod rozbiór nagą ideę, taką, jaka ona jest, odrzuciwszy wszelkie krańce, jako zbytecznych towarzyszy silnego indywidualizmu.

Co do mnie, nie zgodziłbym się na absolutyzm, z jakim Przybyszewski odrzuca wszelkie inne pojęcia i poglądy, panujące w sztuce, z jakim potępia każdą inną ideę. Nie wątpię ani na chwilę, że wierzy on w niezłomność swoich przekonań. I tak być powinno. Ale bezstronnie rzecz biorąc, żadne pojęcia nie wyłączają tolerancji artystycznej. Dajmy na to, że idea kultu „czystego życia duszy“ jest największą z istniejących dotychczas; nie idzie jednak za tem, aby bić obuchem wszystkie inne, bez względu na ich czystą wartość artystyczną.

Żaden kierunek, z natury rzeczy nie może być ostatnim wyrazem sztuki, gdyż w przeciwnym razie stałby się jej zgubą. Pojmuję, że szczery artysta na dwóch stołkach siedzieć nie powinien i kilku bogom ofiary składać; pojmuję, że, wprowadzając nową ideę, musi się rozstać z dawnemi, lecz nie odpychać z prawdziwą wściekłością samej myśli o nich. Odrzucając przeżyte formy, zawsze pomimo woli bierzemy z nich pewną cząstkę, wsiąka z nich w nas to, co stanowi o ich czystym zysku w historji rozwoju sztuki, o bezwzględnej ich wartości.

Przybyszewski zarzuca naturalizmowi mieszczańską małoduszność, wyśmiewa i potępia „dzielnych“ Büchnerów, Vogtów, Spencerów. Zapewne jest w tem niejaka doza słuszności, jest imponująca siła i wiara w siebie w tem zrzuceniu z piedestału absolutnego bóstwa ludzi, którzy często nie dojrzą nic poza końcem własnego nosa, którzy, zasklepiwszy się, w swoich niezłomnych „rozumowych“ formułkach, schodzą do zwykłego szablonu w sądzeniu zjawisk życia. Lecz gdyby nie oni, umysł Przybyszewskiego nie byłby tak giętkim, jakim jest. Gdyby nie naturalizm, nie mielibyśmy tak skończenie plastycznych epizodów, jakie nam Przybyszewski daje w swych pracach.

Naturalizm w tej formie, w jakiej go obecnie oglądamy, jest kierunkiem niezaprzeczenie przeżytym, zmanierowanym. Ale też z losów jego można wyciągnąć dobrą naukę i nie zasklepiać się w swej idei, aby również nie dojść do maniery. Nie mówię, żebym dziś już przypuszczał podobną możliwość; Przybyszewski jest na to zbyt jeszcze młody, zbyt wrażliwy i inteligentny. A idea jego jest płodem umysłu bujnego i głębokiego.

Wśród hucznych, a czczych haseł artystycznych, szumiących w uszach, jak gromada szerszeni, wśród powstających z dnia na dzień nowych idei, bladych, nędznych, zrodzonych gwałtem i w zarodku już na śmierć skazanych — idea ta uderza swą szczerością i głębią. Od kolebki nosząc w duszy zaród zwątpień i bólu, przetrawiwszy wszystko, co przeszłość duchowa w spuściznie pozostawiła i teraźniejszość podaje, młody autor staje wobec zagadki życia ludzkiego z namiętną a potężną żądzą prawdy. Badawczy jego umysł idzie za popędem intuicji i sięga odrazu najgłębiej, w otchłanie niezbadanej duszy ludzkiej, w sferę tajemniczych jej drgnień i walk strasznych. To — nie psychologja literacka w dosłownem znaczeniu, nie podporządkowanie akcji zewnętrznej zasadzie wewnętrznych pobudek! To nie wyjaśnianie głębi umysłu pana Piotra lub Pawła, uganiającego się za Kachną; nie ślamazarny płacz sentymentalnej duszy, pocieszającej się w bulwarowej kawiarni po stracie „ukochanej“. To — tajemny błysk ducha, oświecający ciemnie istoty ludzkiej i niszczący ją, jak ogień pioruna. To — poczucie siły olbrzymiej, potęgi strasznej, rządzącej światem. Jest to jakby rozpaczliwy okrzyk ducha człowieczego, łamiącego się w poczuciu własnej potęgi i niemocy zarazem, okrzyk wśród walki wewnętrznej, druzgocącej całą jego istotę. Jest to — i rozkosz najwyższa, i strach bezgraniczny, i szamotanie się bezsilne, porywy najwyższe i — upadek, śmierć, a wszystko ujęte w przerażająco plastyczną całość.

„Na początku był rodzaj; wszystko w nim, nic — poza nim“ (*Totenmesse*). W słowach tych, brzmiących na pozór, jak czczy frazes, tkwi wielka zasadnicza prawda. Przejawia się w nich cała ogromna inteligencja autora. Oto dewiza, wniosek, z subtelnej obserwacji życia wyciągnięty, z zagłębienia się w nie, z dociekania tajemnych poruszających je sprężyn! Śmiało, odrzuciwszy wszelką hipokryzję, wyznaje P. swoją wiarę; wypowiada otwarcie to, co tkwi, jak niejasny przebłysk, w umysłach setek wykwintniejszych ludzi wszystkich czasów. Być może idea Przybyszewskiego nie jest jeszcze skrystalizowaną dostatecznie; nie ujął on jej w formę, jakiej domaga się sucha i bezduszna estetyka. Lecz pojął ją i odczuł, a to dla sztuki najzupełniej wystarcza.

Płciowość jest siłą, poruszającą świat cały, osią, około której obraca się życie, pierwszą przyczyną zawiłych zjawisk ducha ludzkiego. Pomimo, że przybiera najróżnorodniejsze formy, istota jej, treść pozostaje zawsze jedna i ta sama. Jest to najpotężniejsza z sił, olbrzym co ujął ludzkość w swe kleszcze. I pod jego uciskiem

jęczy ona bezwiednie, doznając nadziemskich rozkoszy, a wśród rozkoszy — męczarni strasznych. Lecz z drugiej strony występuje inny pierwiastek — duch ludzki, rozwinięty i wysubtelniony, pozostający zawsze w sprzeczności z istotą natury naszej, — duch nadziemski, potężny, tajemniczy. I oto przy zetknięciu się dwóch przeciwnych potęg powstaje walka, z początku cicha i niema, lecz coraz straszniejsza, i tem straszniejsza, im wyżej wzlatuje duch ludzki, im bardziej się on udoskonalił i rozwinął. Jest to zaiste walka o byt ducha, trwająca od chwili, gdy człowiek powstał na ziemi, aż do dni naszych, — walka coraz cięższa i groźniejsza. W walce tej przychodzą monety krańcowe, punkty kulminacyjne, chwile ostatnich wysiłków i następującego po nich zniszczenia. Są to te błyski duszy, przejawy jej, które analizuje Przybyszewski. Pojął on w całej rozciągłości wieczną walkę dwóch potęg, walkę, mieniącą się w kameleonowych barwach rozkoszy i cierpienia, a prowadzącą zawsze do upadku, do śmierci materjalnej. Z natury rzeczy wynika, że rola kobiety w tej walce nie może być inną od tej, którą jej wyznaczają Rops i Przybyszewski. Jest to zakończenie samej idei, uplastycznienie, ujęcie jej w skończoną, jednolitą całość. Czyją jest winą destrukcyjna rola kobiety, kto jest powodem, że instynkty jej i cała natura poszła w rozwoju tą, a nie inną drogą — to kwestja uboczna, która autora nie zajmuje. Bierze on rzeczy tak, jak są. Oto wszystko. A teraz nastręcza się pytanie, czy idea Przybyszewskiego jest zupełnie wyodrębniona od pojęć współczesnych, czy nie ma poprzedników? Już sam autor wskazuje dawniejszych jej prarodziców. Ale i dziś, pomijając tych, co idą ręka w rękę z Przybyszewskim, odszukać można łącznik pomiędzy najgłębszemi umysłami epoki, poruszającemi tę samą kwestję. Pierwszy przychodzi na myśl Tołstoj. Czyż nie spotykamy u niego tej samej zasadniczej idei, choć inaczej postawionej i w innej formie pojętej? („Sonata Kreuzera“). Tołstoj, wyprowadziwszy zasadę teoretycznie, wysnuwa z niej wnioski utylitarne, że się tak wyrażę, i na nich skupia swą uwagę. Nie cofa się przed najbardziej nieoczekiwaną konsekwencją i skazuje ród ludzki na zagładę, widząc w tem poniekąd jego cel ostateczny. Tołstoj słowem potrąca o ideę powierzchownie, nie sięga głębiej, lecz bierze stronę jej praktyczną... Innym znowu, lecz bardziej pokrewnym umysłem jest ów „kolos Skandynawji“ — August Strindberg. I nie można się oprzeć wrażeniu, że w pracach Przybyszewskiego słychać tu i ówdzie odległe, głuche echo głosu Strindberga. Lecz Przybyszewski w teorji poszedł dalej, rozwinął i rozszerzył myśl Strindberga.

Rzecz samą wziął więcej teoretycznie, akcentując silnie niszczącą potęgę kobiety. Strindberg żąda jej niewoli, Przybyszewski — niczego nie żąda, nie wdaje się w utylitarną stronę idei, ale bierze nagi fakt i ubiera go w formę artystyczną. Czasami wśród męczarni bólu wyrywa mu się z duszy okrzyk nadziei, błyska mu jasny promień wchodzącej jutrzenki. Wówczas — prorokuje nowe królestwo szczęścia. „I z szeroko na zachód otwartemi podwojami — woła w dziele swem *Vigilien* — stoi tam świątynia mojej duszy, rozbite w gruzy Jeruzalem mego umysłu, tonąc w cieniu palm, — stoi, aby przyjąć oblubieńca, syna bożego upojenia, nowej, wiecznej szczęśliwości... I jak arcypasterz, stoję ja, biedny syn ludzki, na stopniach ołtarza — i czekam. Z wyciągniętemi rękoma, z oczyma, nieruchomie zwróconemi ku jasnemu porankowi, stoję tam — i czekam“...

Najbliższym Przybyszewskiemu, jego duchem bratnim jest malarz norweski Munch. Sztuki ich obu wzajemnie się dopełniają. Obaj objęli cierpieniem cały świat.

Zdaje się, że są oni tą przednią strażą nowego pokolenia, strażą, co ginie, padając pod przemocą wrogich żywiołów, aby oczyścić drogę następcom.

Jan Zakrzewski

G. VERGA.

TYGRYSICA

Powieść.

(Przekład z włoskiego).

Ciąg dalszy.

Wieczorem, od ósmej do jedenastej, gdy hałas miejski gubił się w oddali, rysowało światło, które płynęło z tych znajdujących się obok siebie i kokieteryjnie aksamitem i adamaszkiem przybranych okien, wzory sztachet na trotoarze szerokiej, ciemnej i prawie pustej drogi i oświetlało błyszczące liście magnolij. Tych niewielu ludzi, którzy przechodzili, stawało na chwilę lub wysuwało głowy z okien powozu, aby się rozkoszować tem światłem, tym blaskiem, który zdawał się pieścić tu i ówdzie sprzęty i materje, temi woniami, które tam w willi przeczuwać się dawały, — a gdy potem ci ludzie się oddalali i ginęli w ciemności, odwracali się raz jeszcze i starali się zabrać z sobą chociaż jeden uśmiech z tego przybytku szczęścia.

Wewnątrz jednak ten przybytek szczęścia przedstawiał zupełnie inny obraz. Pani Nata zwykła była przepędzać czas w najwięcej oddalonym od ulicy pokoju, znajdującym się w skrajnym rogu. Tutaj siadywała prawie zawsze przed kominkiem, z którego płomienie oświetlały ją swym czerwonawym blaskiem. Oczy miała po większej części zamknięte, tak, że wyglądały jak dwie wielkie czarne plamy na tem bladem licu. Nogi miała wyciągnięte na dywanie, głowę opartą o tył fotelu — podczas gdy przewracała karty książki lub bezmyśl-

nie bawiła się wachlarzem. Wszystkie inne pokoje były próżne, tylko kamerdyner przechadzał się po przedpokoju, a w tej głębokiej ciszy trzask ognia, tykanie zegara, stuk przejeżdżających przez aleję powozów miały w sobie coś smutnego.

Gdy Giorgio około godziny piątej przybył do hrabiny, aby jej złożyć wizytę, świeciły się wszystkie okna domu jak lustra, a w górze nad czerwonymi dachami i małymi słupkami kominów — słońce zdawało się roztaczać aureolę z złotego kurzu.

Nata, usłyszawszy turkot powozu zajeżdżającego przed bramę, mimowoli szybkim ruchem odwróciła twarz ku wejściu do salonu.

Gdy Giorgio wszedł, siedziała w pobliżu okna przy małym stoliczku, inkrustowanym bronzem złoconym, na którym leżały jej książki i listy, a czyniła wrażenie samotności i opuszczenia jak nigdy.

Salon był obciągnięty niebieskim jedwabiem, umiarkowanie jasny i ogrzany wielkim ogniem; ale cudny dzień zimowy nie rzucał ani jednego promienia, ani uśmiechu do pokoju.

Ptaki śpiewały uroczo w małym melancholijnym ogródku i przychodziły nieraz do okna, a między portjerami widać było przez szyby pas jasnego, błyszczącego nieba. Nata, odwrócona plecami do tego kwadratu niebieskawego światła, zdawała się siedzieć, prawie w ciemności. Oczy jej wyglądały jeszcze większe i ciemniejsze niż zwykle, a bladość jej miała prawie jakiś ton zielonawy.

Gdy Giorgio wszedł, dziecięcym ruchem klasnęła w dłonie i wyciągnęła potem obie ręce do niego.

— Brawo! — zawołała z uśmiechem. — Gdybyś pan wiedział, jak w porę przychodzisz i jak panu jestem wdzięczna za tę wizytę! Widzisz pan, całe moje życie polega na tem, aby liczyć drzewa w aleji. A to jest moją największą rozrywką...

Giorgio pochylił się, aby tę „największą rozrywkę“, — rysunek japoński, który hrabina naklejała na wachlarz, zobaczyć dokładniej, poczem zaczęli mówić o przemyśle japońskim, La Ferlita bowiem spędził w Japonji lat kilka. Nata zadawała mu tysiące pytań, jedno dziwniejsze od drugiego, i spoglądała od czasu do czasu na niego swym przenikliwym, ale nieprzeniknionym wzrokiem, nie myśląc przytem nic.

— Gniewasz się pan zapewne na mnie, wszak prawda? — przerwała mu nagle w opisie jakiegoś cyzelowanego przedmiotu z bronzu i jakiejś statuetki z kości słoniowej.

Podniósł szybko głowę, ale hrabina nie patrzyła wcale na niego. Trzymała rysunek do światła, aby zobaczyć, czy jest gładko naciągnięty i mrugała trochę oczyma, trzymając białe jak wosk i na brzegach cokolwiek przejrzyste ręce w górę. Zdawała się już nie pamiętać o swojem pytaniu.

— Ja, gniewać? — zapytał wreszcie La Ferlita.

— Tak, *un peu, beaucoup, passionnément* — *passionnément!*

— *Mais non, rien du tout!*

Z podniesionemi jeszcze ciągle w górę rękami, w których teraz trzymała rysunek jak transparent, odwróciła się.

— Naprawdę nie? Tem lepiej! Nie możesz pan sobie nawet wyobrazić, jaką mi to radość sprawia — rzekła, pochylając trochę głowę, z miną tak posągową, że nie można było odgadnąć, czy mówi poważnie, czy żartuje. — *Merci!*— dodała, z pewnem szepleniem w wymowie.

Nastąpiło chwilowe milczenie, podczas którego zdawała się być zatopioną w swej robocie; rzuciła ją następnie do koszyczka, a potem podeszła do kominka, przed którym uniosła cokolwiek suknię, postawiła nogę na kracie, a łokciem oparła się na gzemsie.

— Czy pan byłeś przez cały czas we Florencji, od chwili, gdyśmy się widzieli po raz ostatni?

—Tak, prócz miesiąca urlopu, który przeciągnąłem na dwa.

— Od czasu mego powrotu nie widziałam pana i sądziłam, że pana niema.

— A ja panią jednak widziałem.

— Gdzie?

— W alejach... może z dziewięć, dziesięć dni temu.

— W takim razie nie spostrzegłam pana, albo też nie poznałam. Był to jeden z pierwszych spacerów, na który się odważyłam, a byłam jeszcze tak słabą, że patrząc na tłumy ludzi, dostawałam zawrotu głowy.

— Teraz jednak czuje się pani lepiej?

— Jest mi zupełnie dobrze.

La Ferlita, który idąc do hrabiny, kołysał się w różowych snach — sam dobrze nie wiedział, w jakich — i miał ciągle przed oczyma obraz hrabiny, która mu zupełnie zawróciła głowę, przychodził powoli do siebie, gdy ją zobaczył tak blisko siebie i tak spokojną, tak zupełnie naturalną i bez przesady. Gdy siedziała tak przed ogniem, Nata była co prawda bardzo wdzięczną, ale nic więcej, i tylko, gdy patrzyła mu w twarz, czuł się zmięszanym i tracił coś ze swej pewności.

— Zobaczę pana wkrótce, wszak prawda? — rzekła i podała mu rękę, gdy powstał, aby się pożegnać.

— Giorgio, stary przyjacielu — pomyślał La Ferlita, wracając do siebie do domu — mam lekkie podejrzenie, że odegrałeś tam dość śmieszną rolę. A zatem, głowa do góry, i starajmy się naprawić złe!

*

I stało się, że Giorgio powtórzył kilka razy swoją wizytę, nie starając się bynajmniej, o pozyskanie względów hrabiny a ta za to była mu wdzięczną. Przyjmowała go zawsze z okrzykiem radości i z uśmiechem mówiła do niego, że jestto wprost dobrodziejstwem dla niej, iż przychodzi i pomaga jej liczyć drzewa w aleji.

— Jaka szkoda, że nie poznaliśmy się już wcześniej, wszak prawda?

— Ależ znamy się już dawno!

— Znamy się? To znaczy, jesteśmy znajomi! Ale jeżeli się spotyka na jakimś balu, to się jeszcze nie poznaje! Lepiej jednak późno, niż nigdy. Zresztą, w czasie nadchodzącego karnawału będziemy się dobrze i wesoło bawili; pan, wicehrabina, jej mąż i kilka jeszcze osób. Będziemy płatali figle i wyprawiali szaleństwa. O, nie obawiaj się pan tylko, nie skompromitujemy pana wobec ministra, co najwyżej skompromitujemy jego wobec pana!...

W piękne dni grudniowe skarżyła się zawsze na zimno. Dlatego też rozmawiali zawsze przy kominku, na którym trzeszczał ogień, oświecający jej wychudłą i uśmiechniętą twarzyczkę swym zmiennym blaskiem.

W żarcie przyrzekała mu zawsze, że pierwszy spacer odbędzie w jego towarzystwie.

— Czy dzisiaj zimno? — zapytała pewnego dnia, gdy tylko wszedł.

— Wcale nie; cudowny dzień!

Powoli przystąpiła do okna i odsunęła portjerę.

—Prawda—rzekła roztargniona, wydaje się rzeczywiście...

Szeroka, tonąca w promieniach słonecznych droga wyglądała wspaniale. Wieśniacy z wózkami przeciągali po niej,

służący handlowi, idący od Porta San Gallo, dążyli ku Piazza Beccaria; młode szwaczki, które swoje pudła z robotą zostawiły u żony dozorcy domu, chodziły parami wzdłuż domów, lub przechadzały się po aleji, trzymając się za ręce lub też podnosząc nowe sukienki, aby pokazać nowe a zakurzone buciki.

Kiedy niekiedy, z głośnym turkotem przejeżdżała otwarta dorożka, albo zamknięta karetka, w której oknie widać było rękę, trzymającą firankę, albo też wyglądającego ciekawego pasażera, a pośrodku tego wszystkiego, skakały wesołe i czupurne wróble.

Kopuła katedry, Campanile, wieża pałacu Vechio, rysowały się ostro na niebie nad chaosem dachów i kominów, a w dali zdawał się brązowy i poważny pałac Pittich przylegać do wielkiej, zielonej ściany ogrodu Boboli.

Na dalszym planie ciągnęły się wdzięczne grzbiety pagórków jak olbrzymi ogród, od którego zieloności odrzynały się białe wille, srebrne wodospady i jasne linje krętych, wężowatych dróg.

Po za wielkiem Piazzale Michała Anioła, którego kontury rysowały się ostro na szafirowem niebie i wdzięcznemi linjami Bella Villanella, jak nazwał Michał Anioł kościół San Miniato, mięszały się barwy olbrzymiego szafirowego sklepienia z zielonością wzgórz.

— Ach... czuję się tak zmęczoną!... — mówiła Nata dalej, jakby w istocie chodziła tak wiele, jak ci ludzie tam na dole — oni zaś... rzeczywiście wyglądają tak, jakby nic nie mieli do roboty!...

W głosie jej i w tej prostopadłej zmarszczce, która w tej chwili dzieliła jej czoło, spoczywało coś, jak gniew.

Ponieważ stan zdrowia hrabiny polepszał się stale, przyjmowała prawie co wieczora panią de Rancy, Giorgia i dwie, trzy inne osoby.

Ze wszystkich jej przyjaciół La Ferlita był najgorliwszym i spędzał nieraz całe wieczory na Viale Principe Amadeo przy kominku i przy filiżance gorącej herbaty na stoliczku. Jeżeli mu kiedy przyszła ochota pocałować tę delikatną rączkę, która mu podawała herbatę, to czynił to bez namiętności, więcej z dawnego przyzwyczajenia i z grzeczności. Nie myślał teraz już więcej o tem, że dla tej pełnej wdzięku kobiety, z którą przepędzał tak przyjemne wieczory, można stracić głowę.

— Dlaczego podczas mojej pierwszej wizyty zapytałaś się mnie pani, czy się na panią gniewam? — rzekł z uśmiechem pewnego razu. — Powiedz mi pani prawdę... wszak był pewien okres czasu, w którym wydawałem się pani śmiesznym?

Podniosła brwi w górę, czy dlatego, że pytanie to było dla niej nieprzyjemnem, czy też dlatego, że starała się przypomnieć sobie towarzyszące temu pytaniu okoliczności.

— Śmiesznym? Ale dlaczego?

— Albo nie wiesz pani o tem, albo też nie możesz sobie przypomnieć. Tem lepiej... mówmy o czem innem.

— Ależ z pewnością przypominam sobie i muszę powiedzieć, że mnie się to wcale nie wydaje śmiesznem, gdy się ktoś pojedynkuje z powodu kobiety. Byłam wtedy pańską damą... przez jeden kwadrans ...prawda?...

I on w tej chwili uważał za rzecz najlepszą śmiać się z tego.

Śmiali się oboje; ona wyciągnęła z wdziękiem nóżki w zgrabnych bucikach, on się pochylił, aby je podziwiać — i o tym okresie przeszłości, który ich oboje wprawiał w kłopot, nie mówiono już więcej.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ADAM KRAJEWSKI

AMOR VIXIT.

Nowela.

Ciąg dalszy.

Machinalnie usiadł Albin obok Malwiny. Słowa jej: „pomówimy rozsądnie“, dziwnie nań oddziałały. Na wszystko inne był przygotowany, tylko nie na coś podobnego. Domyślał się przecie, że gdy mu kobieta młoda, piękna, wolna i niezależna, jak Malwina, naznacza schadzkę u siebie w domu, toć nie po to, ażeby go jak penitenta wziąć do konfesjonału. Obiecywał sobie może początkowo dąsy z jej strony, wyrzuty, oburzenie wreszcie, wszystko, tylko nie ten chłodny ton, nie to rozumowanie wówczas, gdy krew w nim grała. Ale co miał zrobić? Kto karty wziął do rąk, musi grać. Teraz był od Malwiny zupełnie zależnym, musiał czynić to, co mu kazała. Siedział więc i czekał.

— Panie Albinie — zaczęła — zanim naznaczyłam panu spotkanie, myślałam długo i o panu i... o sobie. O sobie przedewszystkiem, bo choć szanse nasze są poniekąd równe, ja ryzykuję więcej...

Spojrzał na nią badawczo. Nie mogło mu się to w myśli pomieścić, dlaczegoby Malwina miała więcej niż on zaryzykować. Przecież on stawiał na kartę swój spokój i szczęście domowe, swoją Ninę, którą kochał. Natomiast co stawiała ona? — Dobrą reputację, a raczej resztę tej, w najlepszym razie, nadszarganej reputacji kokiety.

Ale słuchał ją dalej, co powie. Namiętność jego dla tej zimnej kobiety, znacznie teraz ostygła — lecz postanowił słuchać cierpliwie.

— Widzi pan — ciągnęła dalej — nasze spotkanie wydaje mi się i nie wydaje dziwnem. Jest ono jednak tak wyjątkowe, tak pozbawione trywialnej cechy schadzek młodych ludzi — zakochanych...

Przy tych słowach zrobiła lekceważący grymas ustami, czego nie zauważył Albin, bo przy wyrazie „zakochanych“ spuścił głowę zażenowany.

— Otóż dlatego wyznać panu muszę szczerze — że ta właśnie oryginalność podyktowała mi, szaloną zresztą, myśl zaproszenia pana do siebie.

Albinowi jakoś niedobrze się zrobiło. Ton jakim Malwina do niego i sposób w jakim przemawiała, poniżał go jeszcze bardziej niż wówczas, gdy mu po raz pierwszy na tym nieszczęsnym balu urągała. Malwina zauważyła zmianę w jego wyrazie twarzy i z właściwym kokietom sprytem, pośpieszyła dodać:

— Niech pana nie urażają moje słowa. Jeżeli się pan głębiej nad tem zastanowisz, co mówię, przyznasz mi słuszność i będziesz myśleć tak samo jak ja.

Popatrzył na nią wzrokiem pytającym.

— Tak jest, kochany panie Albinie. Uprzytomnijmy sobie nasze obecne położenie. Pan, jakkolwiek młody jeszcze, jesteś człowiekiem żonatym, na stanowisku w społeczeństwie, na każdy sposób nie kawalerem, nie mającym nic do stracenia, nieprawdaż panie?

— Prawda — szepnął — i w tej chwili przypomniał sobie tę, którą zdradzał. Rumieniec oblał mu lica i mimo różowego światła lampy, rumieniec ten nie uszedł bacznemu oku Malwiny. Udała jednak, że tego nie spostrzegła i ciągnęła dalej:

— Ja nie jestem także młodą, niedoświadczoną kilkonastoletnią dziewczynką, która w objęcia mężczyzny leci jak ćma do świecy. Mam na wielkim świecie wyrobione doświadczenie, i przyznasz pan sam, że śmiałbyś się ze mnie, gdybym w obec niego udawać miała taką, jaką nie jestem, jaką może nigdy nawet nie byłam. Wychowałam się w odmiennych warunkach, — sierota, poznałam lepiej ludzi i ich wady — przymiotów nie wiele, bo niewiele ich i znaleść w naszym świecie — i jestem bardzo a bardzo ostrożną i uważającą.

Albin słuchał teraz ciekawie. O ile wprzód gniewnym był na tę kobietę za jej chłodne morały, o tyle teraz zaciekawiała go bardzo ta światowa panna, której poglądów i zasad dawniej nie znał, nigdy bowiem nie zdarzyło mu się w takich warunkach sam na sam z nią rozmawiać, nawet wtedy, gdy się ongi o jej rękę zamierzał starać. Poczęła mu imponować tym spokojem, tą wyższością bez szyderstwa i pragnął teraz słuchać jej dalej, bez uniesień. Uczucie jego namiętne dla niej, stopniało w chłodzie jej spokoju, a miejsce jego zajęła budząca się sympatja dla tej kobiety, jak do dobrego przyjaciela, z którymby się chciało myśli i wrażenia podzielić. Przebaczył jej w duchu to pierwsze jego przyjęcie i z pogodniejszą twarzą w oczy jej patrzył.

Uśmiechnęła się do niego i wyciągnęła rękę.

— No, przyznajesz mi pan rację, panie Albinie?

Zamiast odpowiedzi pochylił się i do ust rozpalonych przycisnął tę rączkę pieszczoną, namiętnie ją całując.

Nie usuwała mu jej, jakby mu wynagrodzić chciała pierwotną przykrość. Z dotknięciem ustami jej ręki, Albina znowu poczęła ogarniać chęć posiadania tej pięknej kobiety. Zapomniał o tem, że mają rozsądnie z sobą pomówić, jak sen uciekły powaga i spokój i krew na nowo grać mu w żyłach zaczęła. Był tuż obok niej, słyszał bicie jej serca, widział nad sobą te palące oczy... nikogo nie było prócz nich dwojga. Twarz mu pałała gorączkowo, tętna biły jak młotem, a ona ręki z jego dłoni nie usuwała. Czuła tylko drganie tej ręki i zdawała się podzielać jego uczucia, bo czuł lekki uścisk jej dłoni, poczem lekko ją wysunęła.

Popatrzyła mu w oczy, bez zwykłego sobie szyderskiego wyrazu i cofnęła się nieco.

Zrozumiał ten ruch, zawstydził się trochę i sam także się nieco odsunął od niej, jakby chciał pohamować namiętności, które w nim grały.

Siedzieli parę chwil nic nie mówiąc. Oboje zbierali siły do dalszej rozprawy. Widzieli oboje, że się łudzą co do istoty uczucia, że nigdyby nie potrafili być dla siebie tylko przyjaciółmi. Albin miał za wiele wspomnień, jako dawny jej, choć nie kochany, kochanek, ażeby ta kobieta miała w nim jedynie uczucie przyjacielskiej sympatji obudzać. Może być, że jej nie kochał, ale jeżeli ją kochał, nie była to miłość czysta, idealna, podnosząca ducha na wyżyny i zdolna do takich poświęceń, jak zaparcia się siebie samego, lecz czysto zmysłowa, zestrzelająca się w żądzy posiadania. Było to omamienie zmysłów, nie znające miary ni hamulca żadnego.

Ona, Malwina, o ile dawniej nie ceniła Albina więcej niż tuziny balowych wielbicieli, teraz gdy poznała go lepiej, gdy widziała, że jest dla niej na zawsze straconym, zapałała ku niemu miłością dojrzałej kobiety i to kobiety zepsutej na wielkim świecie. Była przytem wysoce samolubną i nie zdającą sobie sprawy z tego, czy ktoś dla dogodzenia jej zachciankom padnie. Pokochawszy Albina na swój sposób, pragnęła go mieć przy sobie, rada temu, że rywalce, za jaką Ninę uważała, potrafi zabrać choć na moment jej skarb najdroższy. Po chwili popatrzała na Albina z uśmiechem.

— I cóż dalej? — spytała z przymileniem.

Zamiast odpowiedzi, przysunął się do niej znowu bliżej, ujął za rękę i popatrzył jej w oczy tak, że pod wpływem tego spojrzenia, ona powieki spuściła.

Nie usunęła się teraz. Uczucie wzięło górę nad Albinem i nie namyślając się więcej, co czyni, objął jej kibić, przycisnął do siebie, szepcąc:

— Kocham cię! — kocham!

— Panie Albinie! — szeptała — panie Albinie! — ale nie usuwała się od niego, — było jej tak błogo w jego objęciu, że jak upojona, przymknęła oczy i główkę bezwładnie skłoniła na jego ramię.

A on jak szalony, jakby nienasycony, całował jej policzki rozognione, czoło, oczy, przyciskał do piersi, z ust tylko szeptem wyrzucając urywane:

— Kocham cię! — kocham!

Nareszcie szałem upojony, przycisnął ją namiętnie do piersi i gorący na ustach wycisnął pocałunek.

W tejże chwili zegar na kominku stojący wydzwonił w tej ciszy godzinę i ten dźwięk oprzytomnia kochanków i z wyżyn miłosnego uczucia do szarej rzeczywistości ich powołał.

Malwina, jakby dopiero teraz poznała co się przed chwilą stało, zerwała się nagłym ruchem i cała zapłoniona, poczęła poprawiać włosy na głowie. Złą była sama na siebie, że uległa na chwilę Albinowi, nad którym niedawno górowała spokojem i usiadła milcząc w drugim rogu kanapki, odwróciwszy się od Albina połową twarzy. Byłaby wiele dała za to, gdyby się to cofnąć mogło, co się stało. Niedziwno! — tyle razy nieopatrznie wyzywała mężczyzn, trafiła raz przecie na jednego, po którego lękliwości nigdy byłaby nie przypuściła, ażeby się mógł na to odważyć, na co się rzeczywiście odważył.

Albin jak winowajca, na gorącym uczynku schwytany, siedział także milcząc i zaledwie zdając sobie sprawę ze swego uniesienia przed chwilą... Atoli jego dusza męska była zadowoloną, że potrafił wyprowadzić z równowagi ten głaz zimny, tę kobietę, która go tyle razy upokarzała. Czuł na ustach całą słodycz tego pierwszego pocałunku, w który przelał całą głębię swoich namiętnych dla Malwiny uczuć. Czuł, że tylko

miłość, i nic więcej jak miłość, tę rzuciło kobietę w jego objęcie. Wiele sobie już teraz obiecywał z tego stosunku, gdy pierwsze lody zostały przełamane, gdy co najważniejsza, nie potrzebował jej słowami tłumaczyć tego, co serce czy zmysły — mniejsza o to — same tak wymownie wypowiedziały. Czy potrzebował teraz mówić jej więcej? Wiedziała, że ją kochał namiętnie, ona wiedziała również, że mu uległa, pierwszemu, dla którego jej serce żywiej zabiło.

Ale właśnie dlatego, teraz, gdy czuła go przy sobie, gdy żar jego namiętnego pocałunku, palił jeszcze jej usta, zapałała złością tajoną do tej, której własnością był ten, co ją przed chwilą ściskał i całował. Zazdrość szalona obudziła się w jej sercu na myśl, że ten Albin, odszedłszy od niej, tak samo pieścić będzie i całować tamtę drugą, która roznamiętniona pieszczotami nie pozostanie sama, opuszczona, jak ona, gdy Albin odejdzie...

Uczuła teraz dotkliwie, o ile niżej stała od tego, którego gorącemu wyznaniu się poddała.

Tymczasem położenie Albina było teraz bardzo niewyraźne; spojrzawszy w twarzyczkę Malwiny, ujrzał brwi czarne ściągnięte chmurnie nad oczyma i niewiedział, jak nawiązać przerwaną rozmowę. Właściwie pomyślał, że najlepiej byłoby pożegnać zagniewaną kobietę i odejść. Coś go jednak przy niej trzymało; czuł że obraziłaby się jeszcze, bardziej, gdyby ją w tej chwili pożegnał. Pozostał więc i zaryzykował próbować przeprosin. Nieśmiało tedy przysunął się do Malwiny, pogrążonej w myślach, a ująwszy delikatnie jej rękę, szepnął:

— Gniewasz się pani na mnie?

Odwróciła się zwolna połową ciała ku niemu i spojrzała. Ale nie było to już owe palące spojrzenie, które Albina o utratę zmysłów niemal przyprawiało. Widział a raczej odczuł chłód z niego wiejący i gniew stłumiony, widocznie wysiłkiem woli hamowany.

— Gniewasz się pani? — powtórzył z wyrzutem.

— I za co? — z lekkiem drzeniem w głosie odpowiedziała Malwina — gniewać się nie mogę, chyba na siebie, że pozwoliłam...

— Nie pani — składając ręce szepnął Albin — to ja tylko szalony sam winien jestem. Przebacz mi pani!

— Cóż ja mam panu przebaczyć? — uśmiechnęła się z źle utajonem szyderstwem. — Nie dziwię się panu wcale, och! bo wy mężczyźni tak umiecie wyzyskać chwilową słabość kobiecą...

Usiłował zaprotestować.

— Nie panie! — nie zapewniaj mnie pan o tem, w co ja nie uwierzę. Nie zapewniaj mnie pan także o swej gorącej dla mnie miłości... — miłości — usta jej wykrzywił uśmiech szyderski.

— Pani! — przerwał jej Albin — krzywdzisz mnie posądzeniem o coś, o czem nigdy nie myślałem.

— No dobrze więc — odparła i przysunęła się ku niemu bliżej, tak że znowu znaleźli się obok siebie — przypuszczam że pan nie kłamiesz, przypuszczam, że istotnie zrobiłam na panu wrażenie; przypuszczam wreszcie, że mogłabym pana pokochać, że go nawet pokochałam... Powiadam, że tylko przypuszczam i proszę dalszych wniosków z tego nie wyciągać. — Jaką nagrodę mogłabym mieć za miłość dla niego wzajemną.

Albin wpatrzył się w nią zdziwiony.

— Dziwi to pana? — Ach! — powiedziałam mu na wstępie, że pomówimy rozsądnie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wiadomości artystyczne i literackie.

O Sienkiewiczu. Biorąc asumpt z pobytu Sienkiewicza w lipcu br. w Paryżu p. Stanisław Rzewuski zamieścił w „Gaulois“ bardzo ładny feljeton o twórcy „Trylogji“, w którym podniósł jego wielką popularność we wszystkich krajach słowiańskich.

Nowe książki. W ostatnich dniach pojawiły się w handlu księgarni następujące nowe dzieła: J. Korzon: „Dola i niedola Jana Sobieskiego“. Dr. Jerzy Mycielski: „Aleksander Kucharski (1736—1820) malarz polski w Paryżu“ Kraków 1898. Dr. Piotr Chmielowski: „Estetyka Mickiewicza“ Lwów 1898. Dr. Fr. Piekosiński: „Goście polscy na soborze konstancyjskim“ Kraków 1898. Sz. Askenazy: „Ministerjum Wielhorskiego“. Corelli M.: „Księżna Żeska“ (z tajemnic życia pozagrobowego). A. Krechowiecki: „O tron“ powieść historyczna z XVII. w. Część I.: Ostatnia dynastja Petersburg 1898. J. Ochorowicz: Bezwiedne tradycje ludzkości. Studjum z psycho-historji. Erazm Giltz: „Bismark, Rosja i Polacy“ szkic polityczny. Petersburg 1898. Wierszów Wacława Rolicza Liedera w nowem wytwornem wydaniu, wyszły dalsze zeszyty: V., VI. i VII.

W teatrze letnim w Warszawie wznowiono w tych dniach: „Karpackich górali“ Korzeniowskiego. — W operze warszawskiej na otwarcie sezonu jesiennego przedstawioną będzie „Cyganerja“ opera Pucciniego. W teatrze letnim czynią przygotowania do wystawienia pięcio-aktowego dramatu St. Kozłowskiego pt. „Taboryci“.

Przekłady. Z Warszawy donoszą, że prof. Władysław Miller przystąpił do przekładu wierszem włoskim „Dziadów“ Mickiewicza, stanowiących jak wiadomo libretto do opery Moniuszki „Widma“.

Na wystawę Tow. sztuk pięknych w Warszawie nadesłano następujące obrazy: Bronisławy Wiesiołowskiej: „Słomiankarz“ i „Mąki“; Feliksa Szewczyka: „Ordynans“ i „Fragment“; Józefa Rapackiego: „Zmierzch wieczorny“, Stanisława Jarockiego: „Cisza“ i „Nastrój wieczorny“.

Gabrjel d' Annuntio pisze nowy dramat pt. „Matka słońce“ oraz kończy romans pt. „Ogień“. Obie rzeczy mają się pojawić w handlu księgarskim w październiku br.

Piotr Chmielowski pracuje w Zakopanem nad „Przewodnikiem metodycznym do studjowania literatury polskiej“. Będzie to — jak pisze „Przegląd literacki“ — szereg systematycznych wskazówek, w jaki sposób posiąść gruntowną znajomość tego przedmiotu.